

**Leonard Turkowski**

# **Powroty**

**(Łazarz)**

**Tygodnik "Wprost"**

**Poznań, 1983-1984**

### Samara

Z kilku budynków szkół, do których uczęszczałem w Poznaniu, tylko jeden zachował się w całości: podstawówka przy ulicy Berwińskiego, która wtedy była szkołą wydziałową, a wchodziło się do niej od ulicy Wyspiańskiego, przez dziedziniec pełen kasztanów. Na dawnym miejscu stoi też – choć już nie ten sam – gmach Akademii Ekonomicznej, która nazywała się wtedy Wyższą Szkołą Handlową, a ja uczęszczałem do niej na zorganizowany tam Wyższy Kurs Dziennikarski. Ze szkoły powszechnej na rogu ulic Głogowskiej i Strusia, w której uczyłem się czytania i pisania – po zbombardowaniu w dniu 1 września 1939 – została tylko część jednego skrzydła: czerwony budynek od ulicy Strusia, zajmowany obecnie przez Politechnikę, a na miejscu drugiego, zburzonego skrzydła – od ulicy Głogowskiej – stoi słynny drewniany potworek architektoniczny postawiony przed Sierpniem.

Lata moje młodzieńcze jednak – lata górne i durne – należą do seminarium nauczycielskiego, które mieściło się w nieistniejącym dwupiętrowym budynku przy ulicy Ratajczaka 30, na rogu ulicy Chudoby, czyli za moich czasów Skarbowej. „Gmach” miał dwa wejścia: jedno do seminarium męskiego im. Ewarysta Estkowskiego, drugie do żeńskiego im. Marii Konopnickiej. W obu skrzypiały stare deski podłogowe, w klasach rano strzelał ogień z kaflowych pieców, w południe dochodził (zwłaszcza latem, przy otwartych oknach) gwar uliczny śródmieścia, a z podwórza – smród ze starożytnych, nie skanalizowanych ustępów, stanowiących zabytek XIX-wiecznego budownictwa drewnianego.

Nam to wszystko nie przeszkadzało, bo seminaria miały najniższe opłaty za naukę, więc myśmy wszyscy pochodzili z proletariackich nizin i przeważnie chcieliśmy się uczyć, by doznać społecznego awansu i zostać nauczycielami. Nie szkodziło i to, że szkoła nie uprawniała do wyższych studiów, choć otwierała drogę do podchorążówki.

Dziś stoi w tym samym miejscu szary biurowiec, na który nie lubię patrzeć.

16.IV.1983

### **Na dworzec**

No nie, nie pamiętam tego dworca kolejowego na ulicy Zwierzynieckiej ani innych, pamiętam tylko ten obecny główny dworzec, z czerwonej cegły, zbudowany w latach siedemdziesiątych minionego wieku, oczywiście wyglądający za moich młodych lat nieco inaczej niż dziś. Na plac przed dworcem wjeżdżał z ulicy Dworcowej tramwaj – jedyńka – który zataczał tu pętlę. Był to oczywiście wóz z otwartymi platformami – motorniczy stał na wietrze, często w deszczu lub śnieżycy. Wsiadało się do niego na samym środku placu, gdzie stała piękna, zdobna poczekalnia tramwajowa. W kole pętli były też szyny, na które odstawiano przyczepne wozy, niepotrzebne w godzinach mniejszego ruchu. Pod Mostem Dworcowym znajdowały się sklepy.

Z Łazarza szliśmy do pociągu ulicą Głogowską aż do Mostu Dworcowego i stąd, jak wszyscy, schodziliśmy schodami w dół, na ten plac. Tylko jadąc do Puszczykowa lub Ludwikowa kierowaliśmy się ulicą Dworcową pod górę, do pawilonu „dworca wycieczkowego, zbudowanego wcześniej jako pawilon reprezentacyjny, w którym witano prezydenta Rzeczypospolitej.

Dworca Zachodniego wtedy jeszcze nie było. Powstał on dopiero w 1929 roku na Powszechną Wystawę Krajową, jako dworzec targowy. Ho, ho, jak się nam skróciła droga na perony! Wystarczyło z ulicy Głogowskiej dojść Odeską (tak się nazywała odnoga ulicy Głogowskiej), obok poczty, do nowego gmachu i już.

Oczywiście, były to czasy, gdy bez biletu nie można było na te perony się dostać, bo przed zejściem schodami do tunelu zatrzymywały człowieka barierki, między którymi stali bileterzy w kolejarских mundurach. Nawet, gdy się chciało odebrać kogoś z przyjeżdżającego pociągu, trzeba było mieć bilet. To kasa sprzedawała bilety peronowe. Później sprzedawały je automaty. Jeszcze później znikły i one, bo zlikwidowano barierki i bileterów. Ale tej dyscyplinie dworcowej towarzyszyła dyscyplina całej kolei. Gdy się wsiadało do pociągu, to się jechało według minutowego rozkładu. Były to bowiem owe legendarne czasy, gdy według gwizdu lokomotywy nastawiali ludzie zegarki.

17.IV.1983

### Wieża i serce

Moja matka mawiała tak: – Gdy wiatr wieje od strony Górczyna, to może być deszcz, a jeżeli od Wieży Górnoląskiej to raczej pogoda. Tak to się przedstawiało dla mieszkańców ulicy Głogowskiej. Musze przyznać, że przepowiednie się sprawdziły. Może między innymi dlatego lubiłem tę kopulastą wieżę? Ba! Chyba byłem z niej nawet dumny, stanowiła w moich oczach jeden z symboli rodzinnego miasta.

Stała już trzy lata, gdy urodziłem się tuż po wybuchu Pierwszej Wojny Światowej, bo była głównym elementem architektonicznym Wystawy Wschodniemieckiej w 1911 roku. Pozostała nim jeszcze na Targach Poznańskich i na Powszechnej Wystawie Krajowej 1929 roku, gdy opodal niej pracowałem, bo wakacje trwały przez cały kilkumiesięczny okres wielkiej imprezy handlowej, a był to wyjątkowy w Poznaniu rok, gdy każdy mógł znaleźć pracę, nawet uczeń szkolny. Ale wtedy przeciwwagą ogromnej kopuły stały się nowo zbudowane od frontu pylony, wskazujące wejście na tereny wystawowe.

Przez ile lat każdego dnia, zdążając z Łazarza do śródmieścia przechodziłem obok niej albo przejeżdżałem tramwajem? Patrzyłem na nią i nie dostrzegałem jej brzydoty – tak przywykły do niej moje oczy, tak przylgnęło do niej moje serce. To właściwie nie była wieża, była to jakby potwornej wielkości baba z piasku.

No i jak baba z piasku, zwała się pod koniec wojny. Choć przecież żelazny szkielet trwał, gdy wróciłem „z wojny”. Przyjąłem z ulgą jej nieobecność. Trzeba było i pewnego dystansu i dorobienia do właściwej oceny estetycznej tego popruskiego potworka architektonicznego. Miałem jedno i drugie. Łatwo uznałem wyższość lekkiej iglicy, która stanęła na szczątkach wieży.

Jej upadek pomógł mi zrozumieć lepiej moje miasto, oddzielić pruską szkaradę od tego, co prawdziwie poznańskie. Tej selekcji dokonuje do dziś – ilekroć idę przez Poznań. Dzięki temu kocham go coraz bardziej.

24.IV.1983

### Nocą u Hallera

Pisać dziś w ciepłym tonie o picciu alkoholu? – strach. Toteż rozpocznę od obrazka. Jest koniec maja czy początek czerwca. Opuściłem o północy jakąś knajpę w śródmieściu, wsiadłem do konnej dorożki i wracam na Łazarz do domu. Między Kaponierą a Mostem Dworcowym, po lewej, z ulicy Głogowskiej spada ku torowiskom skarpa porośnięta drzewami i krzewami. Właśnie kwitną jaśminy, roztaczając upojną woń, która nocą odurza bardziej niż za dnia. Świeci księżyc. W głowie lekki szum alkoholu. Dorożkarski koń haftuje ciszę rytmicznym stukotem kopyt. Zatrzymuję dorożkę, wchłaniamy razem z woźnicą niepowtarzalną woń jaśminów. Zaczyna świtać.

Kto tak umie dziś wracać z bibki? Wódce towarzyszy zazwyczaj wrzask, pełen wyrazów na „k”. Zamiast wesołości – agresja. Alkoholizm degeneruje organizm i psychikę. – No tak, w tamtych czasach ilość wódki na łebka była kilka razy mniejsza.

Dlatego lokale mogły być otwarte do północy, a kilkanaście zamykano w Poznaniu dopiero nad ranem. A na Alejach Marcinkowskiego restaurację Hallera otwierano o północy, zamykano w południe..

Było to zaraz za Biblioteką Raczyńskich, w miejscu gdzie dziś luka. Gdy o północy personel restauracji dziennych kończył pracę – tu ją rozpoczynano. Lokal Hallera zapełniali głównie kelnerzy. Obsługiwali innych przez wiele godzin, teraz sami chcieli być obsłużeni. Szedłem tam kilka razy z kelnerem, w którego rewirze siedziałem w Obywatelskiej na rogu Głogowskiej i Wyspiańskiego, gdzie obecnie księgarnia. To od niego dowiedziałem się o istnieniu „rannej” knajpy.

Gdy szło się do Hallera z kelnerem, nie wolno było wkładać ręki do kieszeni. Przedtem inni mieli gest – teraz on go miał i płacił. Około czwartej przy stolikach zagęszczało się, przychodził personel lokali nocnych: kelnerzy i parkietówki. Trafiłem tu kiedyś z dwiema takimi u boku. Oczywiście – też one fundowały. Żegnaliśmy się przed ósmą rano. Świeciło słońce. Szedłem prosto do roboty. Szaleństwo szaleństwem, a obowiązki obowiązkami.

8.V.1983

## Gazeciarz

W poznaniu nie było nigdy gazeciarzy typu warszawskiego, biegnących przez ulice i wykrzykujących gazetowe tytuły, bo dystrybucja czasopism była tu zorganizowana zawsze na niezłym poziomie. Mój ojciec prenumerował dziennik „Postęp”, przemianowany w roku 1927 na „Nowy Kurier”. Chodziłem po to pismo każdego dnia do sklepu tytoniowo-papierniczego Trybusa przy ulicy Głogowskiej z kartonikiem, zawierającym w kratkach cyfry oznaczające dni miesiąca, na którym wypisano tytuł gazety prenumerowanej, nazwę miesiąca i nazwisko prenumeratora. Wydając dziennik, pan Trybus zakreślał na kartoniku odpowiednią kratkę. Oczywiście, byli ludzie, sprzedający gazety na ulicach albo w lokalach gastronomicznych, ale należeli do rzadkości. Gazeciarz typu warszawskiego pojawiał się w przypadku wydania dodatku nadzwyczajnego, donoszącego o jakiejś najnowszej sensacji. Poza tym byli mali gazeciarze, którzy roznosili pisma prenumeratorom do mieszkań.

Takim zostałem ja akurat w owym 1927 roku, mając 12 lat. To był mój pierwszy roboczy kontakt z prenumerowaną przez mojego ojca gazetą.

Trzy lata później, gdy byłem już uczniem seminarium nauczycielskiego i zdążyłem zasmakować pisania, a nawet druku, pisywałem dom tejże gazety – już do „Nowego Kuriera”, którego redakcja mieściła się na Alejach Marcinkowskiego w kamienicy dziś nie istniejącej – stały felietonik „Kącik uczniowski” podpisywany Turkay. Rypałem w nim wesoło całą prawdę o życiu szkolnym. Otrzymywałem za to pierwsze w życiu wierszówki; nie pierwsze zarobki, bo te inkasowałem już mając 12 lat. Ale dyrektorowi szkoły nie spodobała się ta moja cała prawda, więc dowiedziawszy się, kto jest autorem, nakazał mi wycofać się z felietonowego procederu. Pisywałem więc nadal, podpisując się za każdym razem innym kryptonimem, dostosowanym do treści „kawałka”. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo moje stosunki ze szkołą były naprężone i niedługo już pozostawałem jej uczniem.

Po kolejnych trzech latach – a był to już rok 1933 i miałem właśnie kończyć 19 lat – przyjęto mnie do redakcji „Nowego Kuriera” w charakterze dziennikarza. W dużym, kilkusobowym pokoju na tychże Alejach Marcinkowskiego dostałem biurko, wyznaczono mi robotę w dziale miejskim i ustalono stawkę wierszówkową. Wynosiła ona 6 groszy, po kilku tygodniach podniesiona została do 8. Jako uczeń otrzymywałem za felietoniki po 4 grosze od linijki. Później, jako współpracownik różnych pism – 15 groszy. Kierował mną bezpośrednio sekretarz redakcji Jarogniew Kaniasty, a naczelnym redaktorem był – podobnie jak i trzy lata wcześniej – Jan Kaźmierczak. Ale pracowałem w „Nowym Kurierze” tylko rok. Potem padłem ofiarą kryzysu, a zarazem kolejnych zmian w redakcji, już teraz nie w tytule gazety, lecz w jej politycznym obliczu.

Tak więc w ciągu trzech trzyletnich okresów pełniłem kolejno trzy funkcje w tym samym dzienniku. Byłem: gazeciarzem, współpracownikiem i dziennikarzem. A wspominam dziś te sprawy, bo od objęcia pierwszej mej dziennikarskiej posady stuknęło równo pół wieku. Ale jubileuszu nie wyprawiam, bo jadłem chleb z siedmiu pieców i dziennikarstwo nie jest moim głównym zawodem. Zawsze czułem się przede wszystkim nauczycielem.

19.VI.1983

### **Tramwaj bez szyn**

Wpierw – jeszcze w XIX wieku – były tramwaje konne. Gdy ja urodziłem się w domu przy ulicy Głogowskiej (bo wtedy człowiek nie rodził się ani w szpitalu, ani w klinice) – chodził po niej już dawno „tramwaj bez koni, z dyszlem na dachu”. Ale bez szyn?

Zjawił się na początku 1930 roku. Gazety doniosły, że sprowadzono go z Anglii, że jest pierwszy w Polsce i że nazywa się trolleybus. – Czyż mogłem tego nie zobaczyć? Czyż mogłem nie przejechać się tym?. Kursował między Rynkiem Śródeckim a Główną. Na Główniej nie miałem nic do roboty, nawet nikogo tam nie znałem. Ale musiałem tam się wybrać nowym środkiem lokomocji! Pojechałem piątką na Stary Rynek, stamtąd dwójką (nie płacąc za drugi przejazd, bo były wtedy bilety przesiadkowe) przez Chwaliszewo i dalej przez most Chrobrego i nad Cybiną – aż do Śródki.

Na Rynku Śródeckim obejrzałem sobie dobrze ze wszystkich stron ten wóz jak autobus, tylko z dwoma „dyszłami” na dachu. Spojrzałem w górę, na dwie nitki sieci zasilającej. Z namaszczeniem wchodziłem do wnętrza. Wykupiłem bilet u konduktora, bo wtedy jeszcze we wszystkich miejskich środkach lokomocji urzędowali konduktorzy. Było niedzielne popołudnie, poza mną jechały jeszcze ze trzy osoby.

Pojazd ruszył miękko, bezszelestnie. To była jazda! Z dumą patrzyłem przez okno, choć nie było na co patrzeć, ale oto jechałem czymś jedynym w Polsce! Na końcu – na jakiejś bocznej uliczce, z której pamiętam jedynie drewniany płot – wysiadłem z wozu, by po kilku minutach wsiąść do niego z powrotem. I oto ze Śródki czekała mnie powrotna droga do domu. Miałem 15 lat i wracałem do niego z kawałkiem wiedzy o moim mieście, z którego byłem dumny.

Kiedyż wrócimy do tych wygodnych i nie zasmradzających świata pojazdów, by zastąpić nimi autobusy?

3.VII.1983

### **Karuzela z kieratem**

Cała prostokątna połąć ziemi między ulicami Głogowską a Klonowicza i między Wyspiańskiego a Spokojną (teraz: Kniewskiego) przez długie lata stanowiła plac naszych zabaw, stał na niej tylko jeden budynek narożnikowy na rogu Głogowskiej i Spokojnej. Dopiero w latach trzydziestych rosły tam budynki, obecnie zapełniające szczelnie tę połąć.

Pas tego prostokąta od strony Głogowskiej stanowił jedną wielką piaskownicę, a dalszy – od strony Klonowicza, wyżej położony – porastały przeróżne zielska. Tam na górcie, starsi po południu rozkładali koce, a dzieci na dole hasały po piasku. Zimą z górci na pazurki zjeżdżało się na sankach albo łyżwach.

I otóż na kawałku tej frontowej, niższej części bliżej ulicy Wyspiańskiego, która była równiejsza i twarda – stawały często karuzele. Albo była to karuzela łańcuchowa z bujającymi się siodłami albo podłogowa z ławeczkami i zwierzętami, na których spokojnie się siedziało. Silnik elektryczny w latach dwudziestych należał do rzadkości, rzadka była też sieć elektryczna, okoliczne domy oświetlane były gazem, a i na ulicach świeciły gazowe latarnie. Toteż karuzela napędzana była... ręcznie.

Jej sufit stanowił zarazem podłogę, osłoniętą ozdobnym pokryciem. Po drabinie wchodziło się tam między promieniście rozchodzące się od środka belki. Wchodziły dzieci, których nie stać było na opłacenie jazdy. Wystarczyło czworo czy pięcioro pchających owe belki i chodzących wokół, jak w kieracie, by karuzela szła. Kto przez pięć rund kręcił ją – za szóstym razem jechał sobie na dole bezpłatnie. W ten sposób myśmy mieli darmowe jazdy, a właściciel przedsiębiorstwa rozrywkowego – bezpłatny napęd.

Przyznam, że dla mnie i dla wielu z nas chodzenie w kieracie stanowiło atrakcję nie mniejszą od owej premiowej jazdy. Nie przyznawaliśmy się jednak do tego przed panem karuzelarzem.

7.VIII.1983

## Radioodbieranie

Poznań jako trzecie miasto w Polsce – po Warszawie i Krakowie – postarał się o radiową stację nadawczą, a nadawanie rozpoczęło się wiosną 1927 roku. Nie miałem jeszcze trzynastu lat i uczęszczałem do Szkoły Wydziałowej przy ulicy Wyspiańskiego. Uczył w niej znakomity fizyk, łączący wspaniale teorię z praktyką tak, że dzięki niemu miałem już własnoręcznie zmontowany aparat fotograficzny, którym robiłem niezłe zdjęcia. Teraz ten cudowny człowiek na którejś lekcji nauczył nas, jak zrobić samemu „radiową stację odbiorczą” – jak to wtedy szumnie określano.

Uzbrojony w prosty schemat i parę notatek, kupiłem w sklepie Malińskiego przy Głogowskiej (rowery itp. technika) słuchawki na uszy, ileś tam metrów drutu „dzwonkowego”, kilka prostych gniazdek i wtyczek, kawałek grubszego drutu posrebrzanego do połączeń na desce, prosty detektor i kryształek do niego. Dwie cewki sam nawinałem na tekturach nasączonych stearyną. Musiała być antena, musiało być uziemienie. Pierwszą stanowił materac w łóżku, drugie – kuchenny kran do wody. Całość kosztowała około czterech złotych. I oto pewnego dnia „złapałem falę”. Cud!!! Muzyka w domu, po niej głosy różnych mądrych ludzi. Gdy położyło się słuchawki na talerzu, mogli słyszeć wszyscy zebrani wokół stołu.

Oczywiście, najbliższej niedzieli pobiegłem na ulicę Bukowską, by zobaczyć naocznie, skąd to idzie do mojej stacji. Rzecz była, niestety, prosta: dwa metalowe maszty, druty rozpięte między nimi, budynek niewielki pod tym – wszystko razem ogrodzone siatkowym płotem. Wiedziałem, że podziemnym kablem idzie muzyka ze studia przy placu Wolności albo wieczorem z pobliskiego dansingu „Carlton”, w niedzielę zaś msza – z katedry.

Taka wiedza mi wystarczała, wiedziałem oczywiście też o niewidocznych falach. Więc ściągałem z podwórka do domu na słuchanie chłopaków, którzy nie mieli takich fajnych nauczycieli, a potem prowadziłem ich na Bukowską, by zobaczyli, skąd idą fale.

A detektor przetrwał do września 1939 roku.

21.VIII.1983

